Pamiętam...

ZOFIA MODRZEWSKA

Po raz pierwszy jechałam do Lublina z Warszawy, z kolegami Teatru POLSKIEGO. Witany wszędzie oklaskami przy wypełnionej sali, bankietami w większych miastach, teatr dyrektora Arnolda Szyfmana objeżdżał triumfalnie Polskę od Krakowa do Wilna, ze sztuką Zofii Nałkowskiej „DOM KOBIET". Kochaliśmy nasz Teatr i byliśmy dumni z niego jak pawie. Czołową rolę Joanny kreowała niezapomniana, świetna artystka Maria Przybyłko Potocka, która w podróży okazała się prosta, wesoła, znosząca trudy objazdu z humorem i wytrwałością młodej dziewczyny, dającą nam przykład nie tylko w stosunku do sztuki, ale i życia.

Wówczas po raz pierwszy zobaczyłam Lublin. Wydał mi się mały, brudny i niski. Z niechlujstwem ulic kontrastowały restauracje i publiczność wykwintna, obsługa elegancka, świetne i dobrze podane dania. Wieczorem, w teatrze, z wygaszonej widowni płynęła fala zapachu drogich perfum. Po zapadnięciu kurtyny gorące i długotrwałe oklaski.

Za drugim razem jechałam na kupie worków, nielegalnie przemycana na liście funkcjonariuszy „Przewozowego Przedsiębiorstwa Towarów Zbożowych". Dostałam wiadomość tajną drogą, że wysyłane przeze mnie paczki nie dochodzą do mego męża, który z Pawiaka został przewieziony z początkiem 43 r. na Majdanek. Stanęliśmy gdzieś na Lubartowskiej. „Czuje Pani — mówił mój sąsiad — ten wstrętny swąd? To z krematorium. Tam, widzi pani? To Majdanek". Dreszcz wstrząsnął mną od stóp do głowy. Przyjechałam bez przepustki dozwalającej mi mieszkać dalej niż dwanaście kilometrów za Warszawą. Groziło mi więzienie „badann" — Majdanek... Biegałam od świtu do godziny policyjnej pod adresy osób mających możliwość przemycić paczkę z żywnością na Majdanek. Noc spędzałam u nieznajomych ludzi. Po dwóch, trzech nocach musiałam szukać innego noclegu, gdyż domowi przechowującemu człowieka nie mogącego się meldować prawnie groziła odpowiedzialność gorsza od śmierci. Spotkana przypadkiem Pani Krystyna Bielska zaproponowała mi gościnę u siebie. Lojalnie przestrzegłam ją o niebezpieczeństwie, na jakie się naraża, ale mimo to — po siostrzanemu otworzyła mi swój gościnny dom. Nigdy nie zapomnę tego dowodu serca i odwagi.

W nocy często budził nas niebezpieczny zgrzyt zatrzymywanego nagle nieopodal naszego domu auta. Czasem z ulicy dochodziły odgłosy strzałów karabinowych, tupot nóg, to znowu płacz i jęki bitej kobiety. Gdy przechodziłam ulicą Narutowicza koło milczącego Teatru, podnosiłam skołataną głowę i patrząc w ślepe okna myślałam, czy los pozwoli mi kiedyś poprzez sztukę Mickiewicza czy Słowackiego, a może nowego jakiegoś geniusza, którzy żyje w tej chwili i walczy w podziemiu, dać ludziom po tej męce potężną pociechę i szlachetną, dumną wiarę w nieśmiertelność Narodu.

Wyobrażałam sobie otwarte drzwi Teatru, oświetlone, jasne jego okna i falę ludzi tłoczących się w holu, wolnych i szczęśliwych.

Taka była druga twarz Lublina.

W roku 1947 pracowałam jako reżyser i profesor PWST w Łodzi, pod dyrekcją Leona Schillera.

Pewnego dnia zastałam w domu expres: Czesław Strzelecki, mój przyjaciel, pisał do mnie z zapytaniem, czy mogłabym uzyskać miesięczny urlop i zrobić szutkę Priestleya „Pan Inspektor przyszedł". Wyreżyserował w jednym sezonie dziewięć sztuk i dziesiątej nie ma już siły zrobić.

I oto wysiadam wczesnym rankiem na dworcu w Lublinie. Jednokonną,

(Dokończenie na str. 14)

PAMIĘTAM...

(Dokończenie ze str. 13)

nędzną dryndą zajeżdżam przed drzwi teatru. Zaspany portier wskazuje mi adres pensjonatu: Pstrowskiego 10. Dzięki Bogu, bardzo blisko.

Umyłam się i wybiegłam na miasto. Wyszłam na Krakowskie Przedmieście, zjadłam w dzisiejszej Lubliniance śniadanie i znowu wyszłam na Krakowskie. Co robić? Naznaczyłam spotkanie z kolegami na godzinę dziesiątą, a była dopiero ósma. Przyglądając się po drodze zniszczonym, podziurawionym kulami kamienicom, doszłam do kościoła Kapucynów — stanęłam... Zaleciał mnie zapach kadzidła i wilgoci, ten znany zapach, pamiętny od dzieciństwa... I dźwięk organów. Przez otwarte drzwi widać było księdza przy oświetlonym ołtarzu i gromadkę modlących się ludzi.

Weszłam do wnętrza... Stanąwszy po prawej stronie przy drzwiach, oglądałam w półmroku figury świętych, przesuwałam wzrok po pięknych wiązaniach sklepienia, po tablicach z napisami łacińskimi, odczytywałam nazwiska, daty urodzin i śmierci dawnych obywateli tego miasta.. Szczególnie zainteresowała mnie płyta kamienna z wyrzeźbioną męską twarzą o bujnym zaroście i szlachetnie sklepionym czole. Odczytałam nie bez trudu napis:

Stefan Kowerski
radca — T. K. Z.
ur. 1824, zmarł 1901.
KOCHAŁ LUDZI — PRAWDZIE SŁUŻYŁ

Jaki prosty, a jaki piękny skrót życia człowieka.

Wyszłam zamyślona; siadłam na ławeczce w ogrodzie na wprost kościoła... „Kochał ludzi — Prawdzie służył". To chyba najtrudniejsze, ale najbardziej pasjonujące zadanie, jakie można sobie postawić. Służyć prawdzie, przy sile i odwadze cywilnej można, ale jak kochać ludzi zabijających prawdę? Cóż za ciężki, bohaterski trud!

Machinalnie skierowałam kroki ku teatrowi... „Kochał ludzi — Prawdzie służył..."

Portier wskazał mi schody na prawo. Gdy doszłam do pierwszego piętra, uderzył mnie gwar typowy dla każdego teatru. Ktoś opowiedział kawał. Wybuch śmiechu, jakaś namiętna kłótnia i znowu śmiech. Weszłam w otwarte drzwi, by stanąć wśród nowych kolegów.

Usiadłam za dużym stołem, przed otwartym egzemplarzem Priestleya „Pan Inspektor przyszedł". Wokół mnie usiedli moi nowi koledzy. Badawczo, uważnie, patrzyły na mnie oczy Eleonory Ossowskiej. Chciwe wiedzy, wybiegały ku mnie szeroko rozwarte oczy młodziutkiej Ziółkowskiej. Piękna, spokojna twarz Góreckiej posłała mi spojrzenie smutne i łagodny uśmiech. Od czasu do czasu, jak szpileczka, kłuły mnie oczy inteligentne, czające w lekkim zmrużeniu złośliwy żart... Dobre, łagodne oczy Jerzego Śliwy... Ciekawe, sondujące oczy Marii Bechczyc-Rudnickiej, dziecinne oczy Stefańskiej, niebieskie jak skrawek nieba.

Nikt z nas nie przypuszczał, że po tej sztuce zacznie się nowy sezon teatralny już ze mną na długie lata.

W tym pierwszym okresie pracowaliśmy gorąco, entuzjastycznie. Kochaliśmy nasz Teatr, a z nami kochał go cały Lublin. Wspomnienia tej ofiarnej i radosnej pracy całego zespołu z dyr. Chmielarczykiem na czele zamknęłam w sercu na zawsze.

W tym żywym, niezniszczalnym skarbcu majaczy uparcie Twoja Twarz, Szanowny Panie Stefanie Kowerski, któryś „Kochał ludzi — Prawdzie służył".

Zofia Modrzewska